



# WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



## JESZCZE JEDEN GRYZOŃ.

Do licznej rodziny gryzoniów, przedstawiającej w składzie swym największą różnorodność, zaliczone jest też osobliwe zwierzątko, któremu z greckiego i łaciny pozostała nazwa *Atherura centralis*, co w dosłownym tłumaczeniu oznacza zwierzę, którego ogon zakończony jest kłosem, jak to wskazuje rycina nasza. Przypomina ono swym kolczastym pokryciem ogólnie więcej znanego jeża-zwierza, od którego wszakże różni się mniej silną i ciężką budową ciała, kształtem pyszczka i nóżek, a przede wszystkim zaś długim, drobnymi łuskami otoczonym ogonem, którego zakończenie zdoła kiść iglic rogowatej natury, rozszerzających się u wierzchołka w drobne kuleczki, niby na długiej szypułce osadzone ziarnka jęczmienia. Szczególna ta ozdoba przypominająca barwą i zewnętrznym wyglądem owe lekkie i cienkie wiórki używane

powszechnie do opakowania naczyń szklanych, jest jednak tej samej natury co i twarde spiczaste iglice, które pokrywają górną część ciała zwierzątka, stanowiąc dlań znakomitą obronę od szakali i innych drapieżnych czworonogów, tak licznych w podzwrotnikowych krainach. Kolce te długie u góry od 2 — 3 cm., dochodzą na grzbiecie do 12 cm., barwy zmiennej od jasno-żółtawej do brunatnej i czarnej, a mają jeszcze tę szczególną cechę, że przez całą ich długość idzie dość znaczne wgłębienie, niby rowek u iglic drzew świerkowych.

Pomiędzy kolcami widnieją grube, lśniące, twarde włosy, gdy głowa i pyszczek pokryty jest krótkim, brązowym włosiem, który na szyi, bokach i całym spodzie przybiera barwę szarawo-białą.

Ojczyzną *Atherura* jest Afryka, mianowicie południowa,

spotykany jednakże bywa również, chociaż już z pewnemi odmianami, w Indo-Chinach. Dla niektórych krajowców, szczególnie na wyspie Fernando Po, stanowi mięso jego poszukiwany przysmak, pomimo że trudny jest do złowienia.

Pierwszy okaz żywego *atherura* otrzymała Europa dopiero w 1829 r., a zwierzątko umieszczone w londyńskim ogrodzie zoologicznym, obudziło żywe zainteresowanie przyrodników.

Zwinny i ruchliwy podobno na wolności, siedzi w niewoli dzień cały w ciemnym kącie klatki i dopiero z nadejściem nocy poczyna się ruszać, gdy jednak jest czem zaniepokojony lub rozgniewany, najeża swój iglasty grzbiet, a w gwałtownych ruchach ogona rogowata kiść uderzając o siebie, sprawia hałas podobny do szelestu zeschniętych liści.

Mało zresztą inteligentne, zwierzątka te zaciekawiają więcej zewnętrznym oryginalnym wyglądem, niż obyczajami i sposobem życia; po dłuższym tylko czasie zdają się poznawać zwykłych swych dozorców, przyjmując z ich rąk podawany im pokarm.

## WOJSKO GRECKIE.

Czytelnicy nasi słyszeli już nieraz o wojnie, która od połowy kwietnia toczy się na półwyspie Bałkańskim u wrót Grecji, w miejscowościach, znanych od wieków, a słynnych jeszcze za czasów starożytnej Hellady, bo tam mianem uzywali kraj swój dawni jego mieszkańcy

Wojna zawsze bywa rzeczą straszną i okropną. Przerwywa codzienny bieg życia, wstrzymuje pożyteczną pracę we wszystkich kierunkach, kosztuje ogromne sumy pieniędzy, sieje pożogę i zniszczenie, a co najgorsza, porywa tysiące ofiar, kwiat młodzieży męskiej, najdzielniejszych i najsilniejszych pracowników, osieracając liczne rodziny. To też w wyjątkowych tylko razach można ją usprawiedliwić.

Grecya została ukaraną za zbyt znaczne przecenienie swych sił i lekkomyślny napad na nieprzyjaciela bez żadnego sojusznika, wbrew radom państw silniejszych. Okazało się, że wojsko które widzimy na rycinie naszej nie jest wcale tak bitne, karne i odważne, jak się przed wojną Grecy przechwalali, a wodzowie, nie wykazali wyższych zdolności wojennych. Obecnie panuje w tym nieszczęśliwym kraju, zamęt, naprężenie, każdy składa winę na drugiego, tymczasem nieprzyjaciel zajął najpiękniejszą prawie prowincję, rozproszył wszystko i gdyby nie opieka Europy, mógłby zająć bez wielkiego trudu stolicę Grecji, owe sławne Ateny, kolebkę sztuki i nauki starożytnej, pełną cennych dla całego świata pomników i pamiątek przedstawione na drugiej rycinie naszej.

A. z Ch. Bozkowska.

## PANNA MARYCHNA Z OPOROWA.

(Ciąg dalszy).

— O niech Bóg wam płaci za dobre słowa wasze, ale co tu począć mój Boże!, co począć, gdy człowieka tego niema i śladu?

— Należy czynić zawsze poszukiwania, tem więcej, że nieprzyjaciele wasi nie domyślają się wcale, abyście mieli jakoweś

poszlaki. Ja zaś obecnie, gdy mam pewność co do osobistości uwiezionej, zgaduję potrosze, gdzie ją odnaleźć można. Komendantem załogi w Stuhmie jest Ulrych Giese. Jeżeli w interesie jego i brata jego Alberta leżało porwanie i uwięzienie matki waszej, nie miał dla niej lepszego schronienia, zanim jednak mógł wprowadzić potajemnie do obronnego zamku kobietę, której istnienie chciał ukrywać, musiał ją umieścić gdzieś w pobliżu. Chata Wilhelma była odpowiednią, po temu, dowiedziawszy się zaś, że niepokoiono z tej przyczyny leśnika, ułatwił mu ucieczkę. Wiadomem zresztą było, że Wilhelm miał często stosunek z zamkiem. Do starca tam zwierzyny i futer, pod tym pozorem używano go pewno do niejednej niecnej sprawy, bo, jak to już powiedziałem, źle o nim mówiono. Dyabłami, z którymi miał schadzki, jak utrzymywali kiniecie, nie kto inny był jak komturowie nasi, którzy zresztą w swych sprawach iść mogą o lepsze ze złemi duchami — dodał wzdychając wojewoda.

— Więc wasza miłość sądzi, że matka moja jest w Stuhmie? — zapytała drżącym głosem Marychna.

— Tak, nie inaczej. Jeżeli, jak mniemano, idzie Ulrychowi i jego bratu, aby od niej wyjednać przymusem jakoweś ustępstwo, dotyczące odziedziczonego po ojcu jej, a stryju ich mienia, tedy nie wątpię, że dopuścić się mogli gwałtu tego.

— Ależ jabyim im oddała chętnie wszystko to, co mamy, byle tylko przywrócili jej wolność!

— Nie idzie oto, aby tylko zagarnąć włości lub klejnoty, lecz aby je posiadać prawnie, iżbyście nie mogli później dochodzić krzywdy waszej. Muszą więc kłaść jakieś warunki po temu, na które matka wasza przystać nie może, oni zaś wy czekują, azali stałości jej nie złamią.

— O biedna matka, ileż ona cierpieć musi... ale żyje! żyje! o mój Boże!...

Wojewoda nie był pewien jeszcze, czy pani Oporowska zniosła to wszystko, co musiała wycierpieć bez szwanku na zdrowiu, nie mógł wszakże odejmować odwagi Marychnie, więc zaczął znów mówić o tem, co teraz czynić należało.

— Włość moja Gozdowa odległą jest zaledwie kilka staj od Stuhmu. Upatrzywszy odpowiednią po temu porę, dojechać tam będzie niетrudno i na miejscu czynić wszelkie możliwe poszukiwania.

— Och, jesteście dobrzy jak aniołowie niebiescy—zawołała Marychna, uradowana już na myśl samą, że znajdzie się w pobliżu miejsca, gdzie przypuszczalnie przebywać może jej matka — niech Bóg zsyła wszystkie swe błogosławieństwa i łaski na was i na miłościwą panią naszą, która nas poleciła waszej opiece!

— Ot Bogu jeno składać dzięki, jeżeli z tego wszystkiego wyniknie coś pomyślnego, a teraz pamiętajcie nie wspominać nikomu, co czynić zamierzamy. Trzeba nam się pilnować, aby zmylić czujność nieprzyjaciela. Wierni nawet domownicy nie powinni wiedzieć o waszych zamiarach, dopóki nie będą musieli współdziałać z nami.

— Wiem ci ja o tem i wasza miłość może być pewną, że milczeć potrafię.

Od owego czasu wojewoda odwiedzał często sieroty, a gdy królestwo powracając z Elbląga, wstąpili do Torunia, znów wraz z panną Marychną był u królowej.

Dobra i zacna pani uradowała się niezmiernie tem, że wybrała tak szczęśliwie opiekuna dziewczeczce i nagliła wojewodę, aby nie zaniedbywał niczego coby mogło doprowadzić do pomyślnego skutku jej poszukiwań. I bez tego wszakże Gabryel Baisen, sam tklivie kochający ojciec, całem sercem pragnął przywrócić dzieciom utraconą matkę...

Pani wojewodzina chełmińska, poznawszy Marychnę, pocięła ją jak córkę swą, której była rówieśnicą, wkrótce więc zaczęła układać podróż jej do Gozdowy. Zachodziła tylko trudność, jak upozorować wyjazd panienki z Torunia, zwłaszcza przed Gwalbertem, którego zawsze miano w podejrzeniu, ale i tu nieprzewidziana okoliczność przyszła w pomoc.

Nigdy chodząc w odwiedziny do panny Marychny, Gabryel Baisen nie spotkał zauszniaka Giese'ów; ukrywał się przed nim wyraźnie. Od czasu nawet, gdy wojewoda odwie-

dzać począł sieroty, dziwnie jakoś spochmurniał i widocznie był zaniepokojony. Nieraz, gdy otwierano bramę dla gościa, usuwał się w bok, jak gdyby chciał się ukryć przed nowo przybyłym. Raz gdy wszystko już gotowe było do wyjazdu panienki z Zochną wychowanką jej matki, i Jaśkiem, synem wiernego włodarza, Marychna, mając niby to zwiedzać większe swoje gospodarstwo, chciała wydać mu rozporządzenia, któreby go zatrzymały w mieście i kazała go do siebie przywołać. Zaledwie jednakże zaczęła rzecz całą wykladać, dał się słyszeć głos nadchodzącego wojewody, i Gwalbert, nieprzytomny prawie, rzucił się do drzwi pobocznych, zamykając je za sobą z hałasem.

Zdziwiona tem Marychna opowiedziała wchodzącemu, co się stało.

— Jest w tem coś — odparł zamyślony. — Sam już nieraz chciałem spojrzeć mu w oczy, zauważywszy, że ucieka przedemną, lecz wypatruje mnie widać zawsze zdaleka, więc przydybać go nie mogłem. Należałoby obecnie sprawdzić, co się w tem ukrywa, dlatego więc należy go tu zaraz wywołać.

Panna Marychna uczyniła to niezwłocznie, ale daremnie, Gwalberta nigdzie nie znaleziono i od owej chwili nie pokazał się więcej ani w domu Giese'ów ani w Toruniu.

— Ot i pozbyliśmy go się, dzięki Bogu — rzekła Katarzyna, która nie lubiła ponurego sługi Krzyżaków, ale wojewoda zaniepokoił się tym obrotem rzeczy, widocznie człowiek ten nie chciał być przez niego poznanym?

Od czasu rządów polskich dwaj krewni, podejrzywani o nieprzyjaźń i zdradę nie ukazywali się wcale w domu sierotek. Nie mogli oni przebywać jak dawniej w Toruniu, gdzie zakon nie miał już żadnej władzy. Raz tylko ktoś z domowników widział na rogu ulicy rozmawiającego z Gwalbertem rzemieślnika w którym, zdało mu się, że poznał Ulrycha, zupełnie tak samo jak panna Marychna w czasie królewskiego wjazdu.

Ze zniknięciem Gwalberta nie przytrafiło się już nic podobnego. Widocznie odwiedziny komtura w Toruniu miały jakiś tajemny związek z obecnością tamże dawnego sługi. Zresztą gotująca się wojna nie dozwalała im obu zapewne dalszych knozań, bo zakon nie dał za wygraną królowi polskiemu i obwarowywał się silnie w pozostałych mu zamkach i grodach, wzywając ze wszech stron pomocy.

Rozległa osada Gozdowa leżała w puszczy leśnej, o jakiej dzisiaj wyobrażenie mieć trudno. Obwarowywały ją dokoła niedostępne moczary, pełne łomów i zawałów, przez które zwierz dziki mógł zaledwie się przemknąć. Chaty kmieci ukrywały się tu i owdzie wśród gąszczy drzew i krzewów, tylko stary dwór modrzewiowy stojąc na wyniosłej polance, widzialnym był od jedynej drogi, która doń wiodła, wywinąwszy się z lasu białą wstęgą. Dwór był obszerny, choć niezamieszkały, miał nawet wybudowane jedno piętro, z którego komnat poza skrajem lasu widniały wysokie wieże Stuhmskiego zamczyska. Nie było tu ani dziedzińca, ani ogrodu, tylko poza dworem w okólniku, otoczonym płotem z żerdzi i dębowych palów, włodarz miejscowy, który dworu pilnował, chował dla uciechy swojej i pana, zagładającego tu niekiedy, mnóstwo leśnego zwierza, pochwytanego w kniei. Były tam sarny, i daniela, i jelenie, i zajęcy mnogość, a w wartkim strumieniu, który w pośrodku przepływał, gnieździły się wydry. Zwierz wszystek w zagrodzie był łagodny i przywykły do ludzkiego obejścia, gdyż schwytyany za młodu. Skoro tylko Stoigniew ukazał się w furtce, biegly do niego zewsząd sarny i inne czworonogi, szukając chleba, który im zwykle przynosił. Sfruwały też z gałęzi drzew bażanty i pawie, którym sypał ziarno, skoro posłyszały głos trąbki, jaką miał za pasem. W otoczeniu swych leśnych gości starzec był jakby w raju, gdy jeszcze zwierzęta nie nauczyły się lękać człowieka. Nie mając przy sobie nikogo prócz żony, zajętej zawsze przedziwem lub tkaniem płótna, oraz kulawego pastuszka, cały dzień przesiadującego z krowami w lesie, Stoigniew rozmawiał z wychowancami swymi jak z ludźmi. Nie wiemy, czy

rozumiały go dokładnie, lecz nieraz można było je o to posądzić, łanie zwłaszcza, zwykle towarzyski świątobliwych pustelników, które umieją patrzeć tak rozumnie i łagodnie gdy do nich człowiek przemawia. Staruszek przyszedł właśnie, aby się nacieszyć młodemi jelonkami, co już do rąk mu przybiegały, bo słońce chyliło się już ku zachodowi i skwar upalnego sierpniowego dnia przemijał; obchodził przytem cały zwierzyńiec, opatrywał ogrodzenie, które wyprowadzone wysoko i umocnione dębowymi spiczastemi kołami, bronić miało dostępu wilkom i rysiom do chowanego tak łagodnego zwierza. Jelonki biegly wszędzie za nim i zatrzymały się aż nad strumieniem, który przeszedł po kładce.

— Ot wydry moje gospodarzą sobie — rzekł głośno, widząc mnóstwo rybich ości na brzegu. — A rozmnożyło się tego do licha! Nie żalby zapolować na nie i kilka futer wyprawić dla jejmości.

Jak gdyby zrozumiałwszy te słowa, zaczajona w szuwarze wydra wskoczyła do wody.

— No, no — rzekł z uśmiechem staruszek — nie bój się, jeszcze daleko do tego, a wreszcie mogę poszukać innych siostr waszych, boć niemało ich tam het w lesie pławi się w strumieniach. A mamy też i bobry... Ot, gdyby to człowiek był młody, to poszukałoby się tego i owego. Ale na starość trudno się błąkać po kniejach. Dobrze, że was tu mam około siebie, niebożęta — dodał, głaszcząc sarnę, która mu przysła do ręki.

Opatrzywszy tak zwierzyńiec cały, robiąc tu i owdzie głośne uwagi nad tem, co mu pod oczy podpadło, Stoigniew usiadł pod kopą siana i patrząc na słońce, kryjące się już poza lasem, począł odmawiać wieczorne pacierze, gdy nagle zjadłe szczekanie psów koło domu zwróciło jego uwagę, wkrótce też dosłyszał głos żony, wołającej go na wszystkie strony.

— Ho ho — pomyślał — a to co znowu? czegoś odmieńnie chcecie może Bogna? A Rozbój i Zabij niedarmo ujadają, czyżby jaki obcy człowiek się podkradał?

Wstał potem niechętnie i, podpierając się koszturem, do domu się powłókł. Tu czekał go niespodziewany widok. Przed domem stał wóz ładowny skórąmi obity, zaprzężony w trzy rosłe i opasłe konie, a na ganku mąż rycerskiej postawy wydawał rozporządzenie pacholkowi, który, porzucawszy lejce, pewien że konie, zmęczone ciężką drogą po wybojach i moczarach leśnych nie ruszą z miejsca, zdejmował ładunki; dopomagała mu w tem hoża i zgrabna dziewczoja w pół po mieszczkańsku, a w pół po wiejsku odziana w sukieny, obcisły zielony kaftan z białym na głowę zarzuconym rańtuchem i pękciem żółtych bursztynów na szyi. Opodal nieco, wsparta o słupy ganku modrzewiowego dworca, stała piękna panna w ciennej jubce i czarnem aksamitnem czółku, haftowanym złotem, jakie zwykle nosiły zamożne mieszczki toruńskie. Panna Marychna, gdyż to ona była, umyślnie ten strój przybrała, mając uchodzić teraz za córkę jednego z bogatych mieszczan, którą wojewoda osadzał tu wraz dodanym jej pacholkiem i służebną dziewczyną, aby się wyuczyć mogła hodowli dzikiego ptactwa, bażantów i pawie, i pielęgnować je później w ptaszarni własnej.

Poznawszy w przybyłym pana, Stoigniew skłonił się do ziemi, ściskając jego kolana.

— Dawnoć już wasza miłość nie zajrzała do nas — rzekł uradowany — gdybyśmy wiedzieli o tem wcześniej, znalazłby się i biały kołacz i miód w plastrach, boć przecie z łaski Bożej jest tu wszystkiego dostatek. Ale i tak moja niewiasta uwarzy zaraz kuraka i jajecznicę.

— Nie troszcz się o nic mój stary — rzekł dobrotnie, gładząc go po ramieniu wojewoda — mam ci ja z sobą wszystko co potrzeba, niechże Bogna wasza zajmie się ino tą oto panną — dodał, wskazując Marychnę — boć to wychowane i wycackane w zamożnym domu rodziców, więc jej dogadzać trzeba, a uparła się jechać ze mną, żeby zobaczyć twój zwierzyńiec, bo okrutnie przepada za leśnymi bestyami i ptactwem...

Stoigniew ujęty za serce tem, że znalazł podobne swemu upodobanie w przybyłej, spojrział na nią przychylnie.

— Córka to jednego z moich przyjaciół miejskich — ciągnął dalej wojewoda, więc musiałem dogodzić jej zachciance, tem więcej, że i moja jejmość lubi ją bardzo, bo roztropna i potulna...

Panna Marychna słuchała zarumieniona słów wojewody, dopomagając służebnej swojej Zochnie do rozkładania manatek. Nadeszła też niewiasta Stoigniewa, i wkrótce wóz wypróżniony pojechał na gumna, koniom nasypano obrok w stajni, a gospodyni zastawiła kurzącą misę i dzban pełny przed wojewodą, który zawezwał pannę Marychnę do wspólnej wicherzy.

Ściemniło się też gdy odmówisz jeszcze razem pacierze, wszyscy wkrótce udali się na spoczynek.

mieszka tu dłużej, do czego dostatecznym powodem była chęć nabrania wprawy w pielęgnowaniu dzikich mieszkańców zwierzyńca.

Wojewoda zabawiwszy nazajutrz dzień cały w leśnej osadzie, odjechał zaraz potem, pozostawiając ją pod opiekę Stoigniewa, którego wierne służby były mu dostateczną rekompensacją, że pannie Marychnie żadne grozić nie może niebezpieczeństwo.

Stary wódarz nie miał zresztą stosunków z mieszkańcami pobliskiego zamku, co zapewniało tem większą swobodę Marychnie, nikt bowiem nie mógł w ten sposób powziąć tam wiadomość o pobycie jej w tych stronach.

(d. c. n.)



A t e n y .

Gdy Marychna poszła z Zochną do wyznaczonej sobie komnatki i spoczęła na pachnącem sianie, późno w noc czuwała, myśląc we wzruszeniu wielkiem, że matka jej może niedaleko od niej modli się i płacze, wspominając osieroconą dziatwę. Gdy zaś w końcu zasnęła, zdało jej się znów, że pani Oporowska wyciąga do niej ramiona i radośnie przyciska ją do serca.

Skoro tylko słońce zabłysło, już była na nogach i wybiegłszy na ganek, patrzyła ze łzami na ponure wieżycy zanku, wychylające się z poza lasu, a im patrzyła na nie dłużej, tem więcej nabierała przekonania, czując żywsze serca bicie, że matka jej tam, a nie gdzieindziej, więzioną być musi. Nie wiedziała jeszcze w jaki sposób z nią się porozumie, ale mniemała, że rzecz cała sama z siebie ułoży się gdy tylko za-

## B A Ś Ń

O W D O W I E I J E J T R Z E C H S Y N A C I I .

p. Deotymę.

(Dokończenie).

W gronostajach i szkarłatach,  
Śpi na puchu i na kwiatach  
Wielko-głowy, ciemno-licy.

Przed nim, wojska bohaterzy,  
Dzwonią noże i siekiery,  
Za nim idą dostojnicy:  
Klin z haczykiem, świder z młotkiem.



A za niemi, jak od wieków,  
Sypie się tłum prostych ćwieków.

Wszyscy stają przed Dobrotkiem,  
A chociaż ten spieszy dalej,  
Klin mu taką mowę pali:

„Wstrzymaj się najmilszy z gości!  
Jesteś w kraju pomysłności.  
Pod monarchą nieboszczykiem  
Szczęście nasze doszło cudu,  
Tak przyciągał serca ludu,  
Jakby przybił je gwoździkiem.  
Kiedy spojrział, zgadł niezwłocznie  
Kto do czego był narzędziem.  
I umarł! Co czynić będziem?  
Poszliśmy badać wyrocznię:  
Ta kazała, byśmy co dnia  
Na gościniec szli w żalobie  
I najpierwszego przychodnia  
Za króla obrali sobie.”

Tu się miesza, ćwieków rzesza  
Głosem chrzęszcząc jak grzechotką,  
Krzyczy; „Wiwat król Dobrotko!”  
Ten ustami ani ruszy,  
Tylko idzie, myśląc w duszy:  
„Choć klin mocną ma wymowę,  
Nie zabił mi klina w głowę.  
Lecz tu strach mi o Mądrala.”

Orszak już pozostał zdala.  
Na gościńcu, jak w potoku,  
Stos kamieni. — Dziecię wdowie  
Stąpa wolniej... aż o zmroku  
Wyszedł znowu na pustkowie.  
Idzie — zewsząd go choina  
W sto kolczastych rąk opina,  
O głaz potknie się co chwila,  
Podpłomykiem głód omyła,  
W dzbanku brakło mu napoju,  
A słyszy z boku szum zdroju.

Próżno się chłopczyną mami —  
Śmierć mu w oczy patrzy śmiecie!  
I zwycięstw nad pokusami  
Gdy zawiele, to zawiele.

Aż o świecie, o wesele!  
Przed nim, jak zielona chmura,  
Niobotyczna a milcząca,  
To ona, Sobotnia góra,  
Samo niebo szczytem trącał  
Odżył widząc to chłopczyną,  
I hardo jak ryś, bez drogi,  
Wspina się pod górę, wspina!

Ranią go po licu głogi,  
Z pod nóg darń ucieka śliska...  
Gad po rękach się przeciska —  
Wicher huczy — drżą urwiska —  
On się wdziera z jasnem czołem.  
Już wierzchołek niedaleki...  
Jak zwycięzca wzniosł powieki —  
I strwożył się... „Tu zgiąłem!”  
Co począć? Ostatnia skała  
Gładko, nago jak mur stała.

Patrzy między skał rozłamy  
I dostrzega wejście jamy.  
Rzuca się w paszczę opoki,  
Idzie przez krużganek niski,  
Potem wyższy, już wysoki;  
Między wilgotnemi zmroki

Różowawe drżą polyski...  
Aż ujrzał od lewej strony  
Otwór łukiem wydrażony.

Za nim spostrzega jaskinię,  
Przecudowną jak świątynię,  
Alabastrem wyłożoną;  
Pod sklepieniem pozłocistem,  
Rubinowe lampy płoną:  
A wodotrysk srebrnym świstem,  
W agatowej gra sadzawce.  
W głębi, na kwiecistej ławce,  
Siedzi panna jakby wiosna,  
Piękna, lecz bardzo żaloszna.

Suknie ma jak tulipany,  
Barwny zawój w kolo głowy,  
Na nim księżyc brylantowy.  
Twarz bielsza od morskiej piany,  
W której ogień gra ruchomy...  
Z czarnych oczu nieustanny  
Czar piękności rzuca gromy.  
Cóż, kiedy rączki tej panny,  
Utoczone do pieśczoły,  
Skute są w łańcuszek złoty!

Za nią chodzi, jak na straży,  
Człowieczek o wąskiej twarzy.  
Nóżki ma ze słomy wite,  
Szklany kołpak strojny w kity,  
A szaty z pieniążków szyte.

Jakby na wiatru powiewie  
Przesuwa się zaczajony,  
Tak, że panna nigdy nie wie  
Z której ją nastraszy strony.

Gdy Dobrotka zobaczyła,  
Okrzyk wydarł się z jej łona,  
Biegnie, błaga zapłoniąca:  
„Samo niebo cię przysyła,  
O wędrowcze! Skrusz me pęta,  
Jam księżniczka jest zakłęta.

„W kraju kwiatów, tam na Wschodzie,  
Gdzie perłami płynie morze,  
Na ojcowskim żyłam dworze.

„Raz gdy sama szłam w ogrodzie,  
Dydko przyleciał na smoku,  
Porwał, uniósł mię w obłoku,  
I wprowadził w tę jaskinię.  
Dydko, na słomianych nóżkach,  
W złotych trzyma mię łańcuszkach.

Zbawisz mię po walce krótkiej:  
Weź tylko od napastnika  
Czarnoksięski klucz od kłódki,  
Co okowy me zamyka.

„Patrz! woła dziewica biała.  
Dydko się za tobą skrada...  
Z urągania, czy z pustoty,  
Sam ci daje kluczyk złoty!”

Chłopiec słyszy, jak wabiąco  
Klucz mu nad ramieniem brzęczy —  
Zadrżał.. wszystkie barwy tęczy,  
Ćmią mu oczy łzą gorącą.

Ale westchnął: „O mateńko!  
Ręką zastonił oblicze  
I ucieka prościuteńko  
Przez pieczary tajemnicze.

Trudno biedz... tu głazów tyle.  
Jak na wykłętej mogile.  
Pędzi dalej, aby dalej,  
Aż trafił — na drzwi ze stali.  
Dotknął, zaraz się rozwarły...  
Jak sen pierzchnął mrok ponury,  
J Dobrotko, wpół umarły,  
Wszedł na szczyt Sobotniej góry.

Źródło życia promieniście  
Bije po białej opoce.  
Nad źródłem drzewo migoce,  
Ze szmaragdów nosi liście,  
A błękitne ma owoce.

Na drzewie się ptak trzepece;  
Bursztynowy jego dziobek,  
Oczy o złocistej rżesie,  
Nad oczami, jakby czubek,  
Rżesista się gwiazda trzęsie.  
Ptak pokręcił jasną głową  
I zaśpiewał ludzką mową:

„Męztwo wieńczy się zasługą,  
Mądrość słońcem życie złoci,  
Lecz nad pierwsze i nad drugą  
Wyższą jesteś, o dobroci!

„Jak żyję na Bożym świecie,  
Któż tu pierwszy przyszedł? Dziecię!  
A mądralów i junaków  
Uspił sen zaczarowania.”

Więc Dobrotko mu się kłania:  
„Najjaśniejszy królu ptaków!  
Gdy ci wszystko znane skrycie,  
Powiedz, jak mam znaleźć braci?  
Matulka odzyska życie,  
Niechże dwóch synów nie traci!”

Ptak pomilczał — i tak śpiewa:  
„Ułam sobie gałąź drzewa,  
Maczaj ją po drodze w dzbanku  
I pokrapiaj nią kamienie.  
Teraz, żegnaj cię młodzianku!”  
Rzekł, i wzbił się nieskończenie.

Chłopiec wierzy mu na słowo,  
Rwie gałązkę szmaragdową,  
Wziął migdały spadłe z ziemi  
I torebkę nadział niemi.

Potem kłęka nad krynicą,  
Obmył w niej znużone lico,  
I nietylko dawna siła,  
Lecz nadludzka weń wstąpiła.

Dzban zanurzył tam głęboko,  
Nalał go pełno jak oko,  
Z góry spuścił się wesoło,  
Różczką głazy kropi wkolo,  
I, co nie do uwierzenia,  
Každy się w młodzieńca zmienia.  
Wszystko to byli zuchwali,  
Co na górę się wybrali  
I usnęli skamieniali.

A ich liczba niepojęta:  
Gdy obejrzał się w dzień trzeci,  
Cała rzesza za nim leci.  
Byli tam lirnicy w bieli,  
Kmiotki szare i księżęta,  
Na rumakach i w szyszakach.

Wszyscy zgodnie okrzyknęli:  
 „To nasz zbawca! niech nam żyje!”  
 Był tam i Junak z Mądralem,  
 A choć zapłonieni żalem,  
 Rzucili mu się na szyję.

Tłum prostaczków i rycerzy,  
 Nim do domów się rozbieży,  
 Za chłopcem szeregi toczy;  
 Bo ciekawi niesłychanie,  
 Chcieliby na własne oczy  
 Zobaczyć, jak wdowa wstanie.

Radujcie się drzewa w lesie!  
 Trawo, ściel mu drogę puszkami!  
 Wasz Dobrotko, wasz pieszczołtko,  
 Wraca z dzbankiem i z serduszkami!

Wbiegł... przed białym stanął łóżkiem,  
 Schyla dzbanek, i o dziwo!  
 Wdowa pod cudowną wodą  
 Budzi się nie tylko żywa,

Ale piękną, ale młodą.  
 Przypadli i bracia łzawi;  
 Wszyscy trzej ściskają wdowę  
 Wszyscy czworo tracą głowę —  
 Matka synka błogosławi.

Ty sam jeden wiesz, mój Boże,  
 Ile było tam radości!  
 Aż wspomnieli o wieczorze,  
 Iż przed sienią pełno gości.

Wdowa chwyta za rądelki,  
 Rozpaliła ogień wielki.  
 Co w obórcie jest mięsiwa,  
 Co w ogródku jest warzywa,  
 Co w piwniczce miodu, piwa,  
 Wszystko czem chata bogata,  
 Zbiera i stawia przed niemi.  
 Nie żałuje dóbr tej ziemi,  
 Kto wraca z tamtego świata.

Stół się ciągnął na dziedzińcu,  
 Ba! i w lesie na gościńcu.  
 A goście jedli tem szczerzej,  
 Że po długich latach głodu,  
 Chociaż świat, co w nic nie wierzy,  
 Mówił, że przy tej wieczery  
 Nie było mięsa ni miodu,  
 A wszyscy za pokarm cały  
 Jedli niebieskie migdały.  
 Potem się porozjeżdżali.

Czwórka w chacie żyła dalej,  
 Dziwowano się, że wdowa  
 Przy kądziolce znowu siedzi  
 Młodziuteńka i różowa.  
 I szeptali w krąg sąsiedzi:

„W tym wypadku tkwi zawilość,  
 Której rozpleść nie zdołamy;  
 Widno, że od śmierci samej  
 Mocniejsza dziecięca miłość.”

## SFINKS ŁODOWY,

przez

JULIUSZA VERNE'A,

przekład M. D.

(Dalszy ciąg).

Kapitan zdawał się chwilę wahać, jak człowiek, który rozpoczynając już rozmowę zastanawia się jeszcze, czy nie lepiej zrobi, zachowując milczenie

— Czyś pan — rzekł nareszcie — nie szukał powodów, które wpłynęły na zmianę mego zdania odnośnie do podróży twej na Halbranie?

— Rzeczywiście, zastanawiałem się nad tem, choć na próżno — odrzekłem. — Może, iż będąc sam Anglikiem i nie mając do czynienia z ziomkiem, nie zależało panu na tem, aby...

— Przeciwnie, panie Jeorling — właśnie dla tego tylko, że jesteś Amerykaninem, ofiarowałem panu miejsce na mym statku.

— Że jestem Amerykaninem? — zapytałem zdziwiony.

— Że pochodzisz z Connecticutu i zwiedzałeś wyspę Nantucket, że może znasz rodzinę Artura Pryma?

— Tego bohatera, o którym nasz powieściopisarz Edgar Poë zadziwiająco opowiedział historję.

— Właśnie tego samego! Opowiadanie jego oparte jest na zaczerpniętych z pewnego rękopisu wiadomościach, dotyczących nadzwyczajnej i przerażającej podróży na morzu antarktycznem.

— Czy ja śnię — pomyślałem, słuchając tych słów kapitana. — Jako, więc on naprawdę uwierzył w istnienie rękopisu Artura Pryma! Przecież opowiadanie Edgarda Poë, jakkolwiek bardzo zajmujące, jest tylko wytworem fantazyi, a oto człowiek inteligentny i przy zdrowych, jak się zdaje zmysłach, uważa te bajki za prawdziwe wydarzenia.

— Pan słyszałeś moje zapytanie? — odezwał się kapitan z naciskiem.

— Tak panie, najniezawodniej — odpowiedziałem z mimowolnym zmieszaniem, podczas, gdy w myśli pytał siebie, jak mam właściwie uważać tego człowieka, z którym rozmawiam. — Tak, słyszałem, nie wiem jednak czym dobrze pojął...

— Powtórzę je zatem w słowach krótkich i jasnych, prosząc nawzajem o szczerą odpowiedź.

— Przyjemnie mi będzie zadowolnić pana.

— Zapytuję więc, czyś w Connecticut nie poznał pan osobiście choćby jednego z członków rodziny Prymów, która zamieszkiwała wyspę Nantucket, i spokrewnioną była z wybitniejszemi rodami w kraju. Ojciec Artura Pryma, był dostawcą przy marynarce, ciesząc się ogólnem uznaniem człowieka uczciwego i zamożnego. Edgar Poë dowiedział się z ust samego Artura o nadzwyczajnych wypadkach, których tenże stał się igraszką w swej awanturycznej podróży.

— Podróż ta mogła być więcej awanturycznie przedstawioną — zauważyłem — ponieważ to wszystko jest tylko wymysłem autora.

— Wymysłem — powtórzył kapitan, kładąc coraz silniejszy nacisk na każdą sylabę. — Więc pan temu nie wierzysz?

— Ani ja, ani ktokolwiek bądź na świecie, i wyznaję, że pan jesteś pierwszym, od którego słyszę twierdzenie, jakoby ten utwór nie był dziełem jedynie imaginacyi autora.

— Posłuchaj mię, panie Jeorling, jeżeli ta powieść, jak ją pan nazywasz, ukazała się w druku dopiero zeszłego roku, i jeżeli 11 lat już minęło od wydarzeń, które opisuje, niemniej przeto wszystko w niej jest prawdą i oczekujemy jeszcze ciągle ostatniego słowa tajemnicy.

— Stanowczo — pomyślałem sobie — kapitan Len Guy uległ smutnej chorobie, dziwacznej jakiejś manii. Na szczęście jem West może go bezpiecznie zastąpić w dalszym prowadzeniu żaglowca.

— A więc, panie Jeorling — odezwał się znowu kapitan głosem, którego drżenie było niezawodnym objawem wewnętrzznego wzburzenia — zdaje mi się, żeś nigdy nie spotkał ani w Prowidencji ani w Nantucket rodziny Prymów.

— Ani gdziekolwiek bądź — odpowiedziałem.

— Szkoda wielka! — zawołał. — Strzeż się pan wszakże twierdzić, że Artur Prym nie istniał wcale, że jest on tylko wymarzoną postacią, że przygody jego są jedynie wytworem fantazyi autora. Tak, strzeż się pan tego na równi, jakbyś się strzegł przeczeniu dogmatów wiary naszej! Bo powiedz sam,

H  
10  
11  
21  
-30

czyby człowiek, nawet tak genialny jak Edgard Poë, zdolnym był wymyśleć, zdolnym był stworzyć..

Gwałtowność, z jaką kapitan ostatnie domawiał słowa, wskazały mi wyraźnie, że chory jego umysł wymagał zupełnego spokoju, i wszelka dalsza z nim dysputa mogła jedynie doprowadzić go do przykrego wybuchu.

— Zechciej więc pan — mówił dalej nieco już spokojniej, lecz z niezwykłą siłą w głosie — zechciej posłuchać wypadków które ci opowiem. Są one rzeczywiste, potwierdzone dowodami, a więc nieulegające żadnej kwestyi. Możesz pan zrobić z nich użytek, jaki się panu spodoba, mam wszakże nadzieję, że nie zmusisz mię do tego, abym żałował, iż przyjąłem cię jako pasażera na mym statku...

Przeświadczony o tem z kim miałem do czynienia, byłem już tym razem ostrożny. Uczyniłem więc jedynie głową znak przyzwolenia. Czemże bowiem mogło być opowiadanie człowieka na wpół tylko przytomnego, pod wpływem dziwacznej manii, która opanowała chorobliwy jego umysł?...

— Gdy opowiadanie Edgarda Poë ukazało się w 1838 roku, znajdowałem się właśnie w Nowym Yorku — rozpoczął kapitan — niezwłocznie też udałem się do Baltimore, gdzie mieszkała rodzina autora, którego dziad dosłużył się stopnia oficera w czasie wojny o niepodległość. Przypuszczam, że uznajesz pan istnienie rodziny Poë, jeżeli przeczysz istnieniu Prymów.

Milczałem, nie chcąc się już niczem sprzeciwiać mówiącemu.

— Dowiedziałem się łatwo o mieszkaniu Edgarda, spotkał mię wszakże pierwszy zawód, autor bowiem krótko przedtem opuścił Amerykę, nie mogłem widzieć się z nim, ani listownie porozumieć.

— Rzeczywiście — pomyślałem sobie — wielka szkoda, gdyż dla zdolnego powieściopisarza, postać kapitana przedstawiałaby bądź co bądź ciekawe studjum.

— Na nieszczęście — mówił tenże dalej — jeżeli nie zastałem Edgarda, trudniej mi jeszcze było widzieć się z Arturem Prym. Bowiem śmiały ten żeglarz umarł jeszcze przed ukazaniem się w druku znanego nam dzieła, o czem w swoim czasie zawiadomiły publiczność stosowne ogłoszenia w piśmiech.

Fakt ostatnio wspomniany, rzeczywiście miał miejsce, ale zgodnie ze zdaniem publiczności, uważałem to ogłoszenie, jako pochodzące tylko od samego autora, który nie mając pewnie dość już śmiałości, by doprowadzić wszystko do możliwego rozwiązania, wołał przedstawić, jakoby ostatnie trzy rozdziały z pamiętnika Artura Pryma, nie zostały mu doreczone przez tegoż, w skutek nagłej i groźnej przejmującej jego śmierci. Wstrzymałem się jednak od wszelkich głośnych uwag.

— Tak więc — mówił dalej bez przerwy kapitan — gdy Edgard Poë był nieobecny, a Artur Prym umarł, pozostało mi jedynie odszukać człowieka, który był jego nieodstępny towarzyszem w całej podróży, aż za koło biegunowe i zkad obaj wrócili razem, choć niewiadomo jakim sposobem... Ten Dick Peters, bo o nim właśnie mówię, miał mieszkać w Springfield, w Stanie Illinois, i mógł zdaniem Edgarda Poë interesowanemu udzielić bliższych objaśnień.

Pojechałem więc tam niezwłocznie, ale...

— Ale nie było go tam — wtrąciłem mimowolnie.

— Tak jest, panie Jeorling, nie było go tam, a raczej nie było go tam „już”. Kilka lat przedtem opuścił on Stany Zjednoczone i niewiadomo gdzie się udał. Ludzie jednak, u których mieszkał przed swym odjazdem, mówili mi, że opowiadał im liczne przygody swego życia. Tajemniczego wszakże zakończenia podróży nie wspominał nigdy, zatem ważne to szczegóły do niego samego teraz tylko należą.

— Jako, więc rzeczywiście ten Dick Peters miał istnieć — pomyślałem, i pod wpływem głębokiego przeświadczenia, z jakim kapitan całą tę historję mi przedstawiał, gotów już byłem jednej chwili wszystkiemu sam uwierzyć, ale zdrowy rozsądek powstrzymał mię w porę. Nie chcąc jednak drażnić biednego chorego, udałem, że uznaję za prawdę wszystko o czem mi zapewniał.

— Przypominasz pan sobie — mówił tenże dalej — że w znanem nam dziele jest wzmianka o butelce, w której ukryty był list kapitana tego statku, na który Artur Prym dostał się wypadkiem, i że butelkę tę złożono u podnóża jednej ze skał wyspy Kerguelen?

— Rzeczywiście wzmiankę tę przypominam sobie — odpowiedziałem.

— A więc w jednej z ostatnich moich podróży, szukałem tego dowodu i — znalazłem, panie Jeorling. Posiadam więc list, w którym kapitan ów oświadcza, że wraz z Arturem Prymem przedsiębierze wyprawę aż do ostatnich krańców morza południowego.

— Pan znalazłeś tę butelkę? — zapytałem z wielkiem na razie ożywieniem.

— Tak panie...

— Wraz z listem?

— Jak już powiedziałem...

Stanałem zdumiony, oczywiście człowiek ten, jak wielu maniaków, doszedł już do uwierzenia własnym wymysłem. Już nawet miałem go prosić o pokazanie tego listu, lecz zaraz zrobiłem sobie słuszną uwagę, że przecież nie trudną było mu rzeczą, samemu odpowiedni napisać dokument, rzekłem więc tylko:

— Nieodżałowanym prawdziwie jest fakt, iż nie mogłem się pan widzieć z owym Petersem, który byłby mu niezawodnie opowiedział, przez jaką cudowną pomoc zdołali obadwaj ci ludzie wrócić do Ameryki. Bo przypomnij pan sobie, że historia kończy się sceną, gdy łódź, w której płynęli, dążyła gwałtownie ku zasłonie nieprzejrzanych mgieł, że z chwilą, gdy wpadała w przepaść, niby olbrzymiego wodospadu, ukazuje się ich oczom jakaś ostoniata postać ludzka... Tu autor urywa nagle, kładąc tylko całą linię domyślników.

— Wielka rzeczywiście stała mi się krzywda, że owego Petersa nie mogłem wybaść — potwierdził kapitan — bo zważ pan, iż nietylko on jeden mógł mi objaśnić co do owego powrotu, ale nadto mógł mi on udzielić wskazówek odnośnie do drugich...

— Drugich? — zapytałem zdziwiony — o kim chcesz pan mówić?

(d. c. n.)

#### FRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna. Rocznie w Austrii 10 koron, w Prusach marek 10; — stosownie do tego półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TIKESĆ: Jeszcze jeden gryzoń (z ryc.) — Wojsko greckie (z ryc.) — Panna Marychna z Oporowa przez A. z Ch. Borkowską. — Baśń o wdowie i jej trzech synach, wiersz przez Deotymę. — Sfinks lodowy, przez Juliusza Verne'a, przekład M. D. — Dodatek: Nieudana wycieczka, wiersz (z ryc.) — Od Redakcyi. — Upominek dziadunia przez Maryę Werybo. — Wieszcza bzu. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Wśród chmur i słońca, przełożyła z angielskiego Marya B.



# WIECZORY RODZINNE



Ej! co tam, woda niezbyt głęboka,  
I takim ciasnym korytkiem płynie!  
Hop! bez namysłu — i w mgnieniu oka,  
Kazio i Julcia płaczą się w trzcinie.  
Braciszek krzyczy, siostra narzeka,  
Bryluś chce pomódz niebacznej parze;  
Szczęściem, skok dzieci widząc zdaleka,  
Nadbiegli spiesznie z łąki kosarze.  
Koszyczek Julci z wodą popłynął.  
I zamiast służyć do jagód w lesie,  
Tak z przeznaczeniem swoim się minął,  
Że chyba żabkom korzyść przyniesie.

(d. n.)

## NIEUDANA WYCIECZKA.

### I.

W powietrzu pachnie skoszone siano,  
Na dworze taka cudna pogoda,  
Trzeba gdzieś sobie pobujać rano,  
Hej! niechaj żyje wiejska swoboda!  
Mateczka pewnie zaraz nie wstanie,  
Bo dla niej większych trzeba wygódek,  
Pójdźmyż więc przynieść jej na śniadanie  
Z lasu koszyczek świeżych jagódek.  
Tak mówiąc, Kazio, choć nie znał drogi,  
Powiódł za sobą siostrzyczkę małą;  
Potem zawołał: Bryluś! do nogi!  
No, teraz, Julciu, ruszajmy śmiało!



Bryluś, mops stary, machnął ogonem,  
Potem za nimi idąc przez bramę,  
Zdawał się mruścić przestrogi tonem:  
„Ej! źle, gdy dzieci włóczą się same!”  
Kazio i Julcia boczną dróżyną  
Idąc wciąż, chcieli oszczędzić czasu;  
Wtem wąski strumyk wstąpiłczką siną,  
Przeciął im dalszą, drogę do lasu.

## OD REDAKCYI.

Z przyjemnością rozpatrujemy stos leżących przed nami próbek kaligrafii młodych naszych czytelników; pojmują oni widocznie, jak ważną rolę odgrywa porządne, czytelne i kształtne pismo w czasie nauki szkolnej, zarówno jak w dalszym zawodzie każdego wykształconego umysłowo człowieka. Wcześniej też małe rączki wprawiają się w swobodne władanie piórem; mamy tego dowody w prawidłowo już stawianych kreskach czteroletniego kaligrafa, aż do drobnego, foremego pisma dziecięcego i jedenastoletnich korespondentów. Wszystkie te próby świadczą o tak wielkiej staranności, że gdyby to było możliwem, każdemu z piszących z kolei radzibyśmy przysądzić nagrodę; jedni wyróżniają się niepospolitemi zdolnościami, drudzy niezwykłą pilnością, skłaniającą ich do wypełnienia kilku arkuszy pismem różnego rodzaju i w różnych językach, a wszyscy okazują tyle dobrej woli, iż nie możemy wątpić o dalszych ich postępach. Wszystkim też bez wyjątku zasyłamy słowa szczerzej zachęty, skoro jednak dziś wystąpić nam wypada w charakterze bezstronnych i do pewnego stopnia wymagających w ocenieniu pisma sędziów, zaznaczyć musimy, że na nagrodę zasługują:

10 letni: Edward Kost., Stokrotka z Jabłonny, Stanisław z Symbirska, Różyczka z n. Pilicy, Helena Mors.

9 letni: Feliks Ber., Jaskółka z Mszanki, Jodełka, Mania Cz., Szary Wilczek, Janina S., Aurelia R., Oleńka z Mławy.

8 letni: Lola Waz., Cecylia Mor., Janek Pław., Gustawa R., Janina N., Stasia R., Magda z Mławy.

7 letni: Leonek Nowod., Szczerbulka, Feliks T., Stasia P., Zosia J.

6 letni: Ludwiś R.

Po odbiór otrzymanych nagród upraszamy o zgłoszenie się do redakcyi „Wieczorów Rodzinnych.” Mazowiecka Nr. 10, czem oszczędzi się zwłoki i kosztów. Prócz nagrodzonych kaligrafów, na pochlebną wzmiankę zasługują:

11 letni: Lwie serce, Felicyna Jaś.

10 letni: Janina Ber., Helenka Żół., Stasia Kościuszko, Józia Łuk., Straszny Mróz, Julcia Gold.

9 letni: Olgierd Zaszt., Józio Tom., Zosia Lub., Starszy braciszek, Lucio K., Gołąbek, Stefan Kost., Ola Ber., Zygmunt Fr., Mania Nap., Adaś Łuk.

8 letni: Muszka ukraińska, Wańdzia B., Pliszka z n. Teterowa, Zygmunt Butowt., Witold Płusz., Ludwik Kow., Aleksandra Zaw., Marylka Lub., Edzio Żół., Marynia Sal., Wicio Koj.

7 letni: Piotruś Hryn., Irenka Bar., Mania Kost., Kujawiaczek, Zajączek z n. Broku, G. Win., Manius Krah., Adam R., Jan Pem., Zygmunt Łuk.

6 letni: L. Lipska. 5 letni: Antoś Krah. 4 letni: Stefuś Żół. Bez lat: Samuel P.

W końcu nadmienić musimy, że wśród niepomiernej ilości nadesłanych próbek pisma znaleźliśmy kilka zaledwie zdradzających mniejszą staranność; dobre chęci wszelako, z jakimi piszący brali udział w ogólnem współzawodnictwie, stanowią rękojmię poprawy, i nie wątpimy, że będą bodźcem dla nich do przewyciężenia wszelkich w tym kierunku trudności i zajęcia wśród współubiegających się jednego z pierwszych miejsc na następnym popisie kaligraficznym. Tego im szczerze życzymy.

## UPOMINEK DZIADUNIA.

Było to już bardzo dawno. Pewien staruszek postanowił pójść do Jerozolimy, chciał pomodlić się przy grobie Chrystusa Pana.

Bardzo serdecznie pożegnał rodzinę, gdyż wybierał się w podróż długą i daleką, a przytem po drodze mogło mu grozić nie jedno niebezpieczeństwo.

Poszedł. Dużo czasu upłynęło, a nic o nim słyhać nie było. Już i wnuki popodrasłały, na polu wiele razy zebrano zboże, drzewka które zasadził, wyrosły w duże drzewa, a jego jak nie było widać, tak nie było.

Aż raz jednego nad wieczorem zbliżył się do ganuku jakiś zgrzybiały i schorzały staruszek; twarz miał bardzo opaloną, ubranie podarte i zakurzone, a sam ledwie suwał nogami.

— Niech będzie pochwalony!... — wyrzekł.

Zaledwie dzieci postyszały te słowa, natychmiast poznały go po głosie.

— Dziaduś, dziaduś! — zawołały — dziaduś wrócił, i zawiodły go do pokoju.

Pieszczotom, opowiadaniom nie było końca. A później dziaduś musiał opowiadać, co widział, co słyssał, co poznał. Było też co mówić, bo w owym nieznanym kraju całkiem odmienne życie widział.

— No — mówi nareszcie dziaduś do dzieci — nie zapomniałem o was, przyniosłem wam podarunek.

Tu wyjął jakąś cebulkę.

— Co to? — pytały dzieci — cebula? Czy to się je?

— O nie moje dzieci, jest to cebulka kwiatu, zwanego hiacyntem, który wyrósł na tej ziemi, po której Chry-

stus stąpił; sądziłem, że wam ten upominek zrobi przyjemność.

— Ależ ta cebulka jest sucha! — mówiły dzieci.

— Nic nie szkodzi — rzekł staruszek — cebulki te leżą w ojczyźnie swojej pół roku w gorącym piasku, weźcie doniczkę z ziemią piaszczystą i włóżcie w nią mój podarunek.

Tak też dzieci uczyniły.

Po dwóch tygodniach wystąpiły z ziemi dwa podłużne liście, a po trzech — łodyżka, porośnięta ładnymi, różowemi kwiatkami. Hiacynt wydawał silny zapach, który rozchodził się po całym mieszkaniu.

Radość dzieci była nieopisana. Lepszego upominku już być nie mogło. Nikt z sąsiadów podobnego kwiatu nie posiadał, tłumy schodziły się i oglądały go z podziwem.

Dzieci chciały udzielić roślinki innym, ale nie można jej było podzielić.

W końcu hiacynt okwitł, a kiedy dzieci znów wyjęły cebulkę z ziemi, ze zdziwieniem ujrzaly dwie zamiast jednej. Naturalnie, że zaraz niemi podzieliły się z przyjaciółmi, tamci też zrobili to samo, i tym sposobem hiacynty rozpowszechniły się po całej okolicy.

Były jednak zawsze wielką osobliwością, zaś dziś niemal już w każdym mieszkaniu można je zobaczyć.

*Marya Weryho.*

## WIESZCZKA BZU.

(Kochanemu Józikowi M. ofiaruje autor).

(Dalszy ciąg).

### III.

#### Zielony gaik Niezabudek.

Szafirka tymczasem, widząc, że Szkarłatka całkiem o niej zapomniała i zamyśla osiedlić się w ogrodzie Wieszczyki, nie wiedziała gdzie się ma udać. Siostry Niezabudki, spostrzegłszy jej kłopot, starały się ją pocieszyć i zaprosiły do siebie w gościnę.

Szafirka przyjęła chętnie zaproszenie; gdy się goście rozjeżdżać zaczęli, chciała się pożegnać ze Szkarłatką, ale nie mogła jej odszukać.

Szczygły zajęchały niebieskim wózkiem, Szafirka wsiadła doń wraz z Niezabudkami i odjechała niespokojna, jak się też powiedzie Szkarłatce. Na liście i trawy spadła rosa wieczorna, lekki wietrzyk poruszał gałęzie drzew; szczygły przyfrunęły nad strumyk, od którego szedł chłód orzeźwiający.

— To jest nasza posiadłość, ten mały gaik — rzekła najstarsza Niezabudka — staramy się też utrzymać go w dobrym stanie i nie żałujemy trudu.

— A ja — spytała Szafirka — czy nie mogłabym wam w czem pomóc?

— I owszem, jutro znajdziemy dla ciebie zajęcie.

Niezabudki mieszkały w zielonym namiocie. Naza-jutrz zerwały się wcześniej do pracy. Wstała też i Szafirka, ciesząc się ślicznym majowym porankiem.

— Szafirko — rzekła Złotowłoska — mamy tutaj dużo małych ptaszków, których rodzice odumarli; narkam je i napój, a jeśli nie potrafisz dać sobie rady, to na tej olsze gnieździ się stary szpak, którego możesz wezwać do pomocy.

Szafirce niebardzo się to podobało.

— Moje drogie — odrzekła — przyznaję otwarcie, że niebardzo się znam na hodowli ptasząt, z chęcią też wysłucham waszych objaśnień. Ale żebym się miała uczyć od szpaka, to... jakoś nie przystoi.

— A dlaczego Szafirko? — odpowiedziała Modrooka — jeśli czegoś nie wiesz, czemu masz wzgardzić pomocą poczciwej ptaszyny? Jesteś bez zaprzeczenia więcej uzdolnioną od niego, ale od każdego na świecie można się czegoś nauczyć. Nie jest wstydem prosić o wytłumaczenie lub radę, owszem, trzeba korzystać z każdej sposobności, żeby się czegoś dowiedzieć. Mędrcom odrazu nikt się nie rodzi.

— Zresztą — dodała Zielonka — mamy każda swoje zajęcia i rozbiegniemy się zaraz wszystkie.

Rozumne słowa Modrookiej trafiły Szafirce do przekonania, i obiecała zwrócić się do szpaka, jeśli zapotrzebuje jego pomocy. Jakoż wkrótce zabrała z nim znajomość; szpak był to stary i rozumny ptak, bywalec i podróżnik, który jej chętnie udzielił wszelkich objaśnień i wskazówek.

Właśnie Szafirka pobiegła do bagienka po komary dla piskląt słowicznych, a szpak, sfrunawszy na niższą gałąź, przeciągał się i muskał na słońcu, kiedy usłyszał trzopotanie skrzydeł i spostrzegł gromadkę nadlatujących dzięciołów.

— O, wszakże to mój dobry znajomy — rzekł i, poznawszy największego, który leciał na przodzie, zawołał: — Jak się masz, długodzioby, dokąd tak spieszysz?

Dzięcioł spuścił się na drzewo i odpowiedział:

— Jak się masz, kumie, można się tu u was za-trzymać?

— Proszę, cóż tam nowego?

— Ha, powiedziano mi, że psuje drzewa, i kazano się wynosić.

Szpak roześmiał się głośno.

— Któż to taki mądry? — zapytał.

— Nowa pani, nowy rząd. Wieszcza Bzu odleciała wczoraj.

— Wiem, wiem, wszystkie ptaki o tem śpiewały, była podobno świetna uroczystość, ja tam na to za stary, ale młodzież się stawiła. Więc to nowa pani już was wygoniła?

— Tak, kazała nie psuć drzew, alb odlecieć; wola-łem odlecieć.

— Zostańcie u nas, nasze rozumne panienki lubią pożyteczne ptaszki.

W południe zbiegły się Niezabudki. Modrooka opowiadała o roślinach i kwiatach, które pielęgnowała, więc o jaskółkach, konwalii, niezapominajkach, czeremsze, najówkach, zawilcach; Złotowłoska o ptakach, które już wróciły i myślały o nowych gniazdach, a tymczasem rozweselały gaik swoim śpiewem; Zielonka rozpowiadała o czworonożnych mieszkańcach gaiku, więc o wiewiórkach, kotach, jeżach, nietoperzach, zajęcach, koszatkach.

Błękitka znowu zajmowała się rybkami, a było ich sporo, choć strumyk niewielki. Żółte karaski i srebrne płotki pluskały się karpiami i z wieloma innymi. Źródłanka ochraniała miłe i pożyteczne owady np. motyle i pszczoły, a tępiła szkodniki, których było mnóstwo. Tępiły je też płazy, któremi się opiekowała Niebieska. Brzydkie bo brzydkie te jaszczurki i żaby, ale pożyteczne, a w letni wieczór miło posłuchać ich smętnego rechotania.

Pielęgnowując tak naszych przyjaciół, wytępiwały i prześladowały naszych wrogów z pomiędzy zwierząt.

Szafirka słuchała z nadzwyczajnem zajęciem.

Jak odmienne obyczaje każdego zwierzątka, wiele ruchu i pracy w tym niedużym lasku. A jaka różność barw, jaka różnorodność postaci! Ten gaj to światek cały, w którym mnóstwo stworzeń żyje i umiera.

Szafirka prosiła o pozwolenie pomagania im po kolei, a tak była uprzejma i usługująca, że ją wkrótce siostry Niezabudki pokochały serdecznie. Polubił ją też stary szpak, który nieraz wieczorem opowiadał o swoich podróżach zamorskich, o tej gorącej krainie, do której schronił się przed zimnem, o piramidach starożytnych, o wysokich palmach, o ibisach i innych mieszkańcach gorącej strefy.

Dobrze im i wesoło było w gaiku, tylko Szafirka niepokoiła się często o Szkarłatkę.

— Ja tu się codzień prawie dowiaduję czegoś nowego — myślała — chociaż ten lasek niewielki. Jak tam Szkarłatka daje sobie radę w tym wspaniałym ogrodzie, ona, która nigdy niczem nie zarządzała, a teraz stała się odrazu samowładną panią.

— Panie szpaku — zapytała raz rozumnego ptaka — czy nie wiesz, co się dzieje w ogrodzie Wieszczyki?

(d. c. n.)



### SZARADA.

*Pierwsze* jest częścią mowy, choć dwoistym szykiem:  
Bo wprost będzie zaimkiem, a wspak wykrzyknikiem.  
*Drugie*, miesiąc, co ziemię w zieloność przybiera,  
*Trzecie*, dość w alfabecie daleka litera.  
*Wszystko*, władzy Anglików podlega oddawna,  
Jest część Wielkich Antyllów z wielu płodów sławna.

### ŁAMIGŁÓWKA ZGŁOSKOWA.

Helcia M. dla drogiej rodziców.

Z następujących sylab ułożyć 11 wyrazów, których początkowe i końcowe litery utworzą nazwiska dwóch polskich hetmanów. Ca—ha—o—dya—ka—i—eu—ra—glia—racz—por—ri beł—cyk—to—ter—wa—i—cio—za—pe—cław—fi—łek—moy—kra—wa—ski—di—tes.—  
1) Miasto na wys. Sardynii. 2) Danina państw lennych. 3) Miasto w Portugalii. 4) Zły duch. 5) Naczelnik Indian. 6) Rzeka w Indyach. 7) Jedna z dziewięciu muz. 8) Imię męskie. 9) Znakomity wódz ateński. 10) Wojewoda mazowiecki słynny ze sprawiedliwości. 11) Kanclerz i hetman w. koronny.

**LAMIGŁÓWKA W KWADRACIE.**

Jedlinka dla Kukułeczki.

1. . . . .  
2. . . . .  
3. . . . .  
4. . . . .  
5. . . . .  
6. . . . .  
7. . . . .  
8. . . . .

W kwadracie z 8 przedziałków ułożyć w każdym rzędzie wyraz 8-io zgłoskowy, aby litery, oznaczone liczbami, złożyły nazwę rzeki w Ameryce. 1) Zwierzę z rodziny pustorogich. 2) Pożywienie greckich bogów. 3) Kwiat polny. 4) Hebrajski prorok. 5) Miasto nad Donem. 6) Świątynia Minerwy w Atenach. 7) Słynny polski poeta. 8) Prowincja w Hiszpanii.

Sylaby: an — am — bła — e — pa — par — sło — a — ty — brę — wa — li — włowski — te — wa — ra — lo — zya — tek — ze — usz — non — go — pa — cki — nia.

**ROZWIĄZANIA DO N-ru 22-go.**

Szarady: Ta — ran — tu — la.

**Lamigłówni kryształowej:**

M  
K o s  
D a n i a  
J e n i s e j  
M o n i u s z k o  
G ł u s z e c  
W e z y r  
O k o  
o

**Zadania arytmetycznego:**

Ponieważ mila ma wiorst 7, wiorsta sążni 500, a sążeń 3 arszyny, zatem odległość od progu chatki pielgrzyma do bramy kościelnej wynosiła (7×500×3) czyli 10,500 arszynów, i tyleż kroków robił pielgrzym, idąc zwyczajnie.

Robiąc zaś dwa kroki naprzód, a jeden w tył, pielgrzym przechodził przestrzeń pierwszego i ostatniego kroku tylko po razie, co stanowi dwa kroki. Wszystkie pośrednie przestrzenie krokowe przechodził trzy razy: naprzód, wstecz i znów naprzód. A że tych pośrednich przestrzeni było 10,500 mniej 2, czyli 10,498, zrobił więc pielgrzym 31,494 kroki, a wszystkich wraz z pierwszym i ostatnim 31,496.

Kiczba ta równa się ilości kroków zwyczajnych (10,500), pomnożonej na trzy (31,500), mniej 4.

**Skrzynka do listów.**

Do wszystkich. Niektórzy czytelnicy: czytelniczki nasze przesyłają nam próby swego pióra. Czytamy je chętnie bo dają nam miarę zdolności, które z czasem przy odpowiednim kształce-

niu w naukach, rozwinąć się mogą z pożytkiem dla ogółu. Wszyskim wszakże, którzyby ogłaszać je pragnęli drukiem, odpowiadamy zawsze, że stanowczo temu przeciwni jesteśmy i z czasem sami przykonają się, że zachowanie podobnych prac w tece na dobre im tylko wyjść może. *Konstanty K.* znajdzie w tych słowach odpowiedź dla siebie. Nie wątpimy, że pomimo to zechce nam przysłać dalsze swe prace. Opowiadanie dla małych dzieci musiałoby być całkiem przerobione, gdyby miało być czytane przez ogół, podobnie jak zwykle wszystkie próby młodocianych autorów.

Arytmogryf *Lucia K.* odłożyliśmy do przejrzania. Nowa próba kaligrafii nadeszła niestety za późno.

Bardzo nam się podobała poczciwa myśl *Józi G.*, by w czasie wielkiego postu poświęcić codziennie godzinę na uszycie paru sukienek dla biednych dzieci. Jedną z przysłanych nam obecnie odesłaliśmy zarządowi kolonii letnich, gdzie z wdzięcznością została przyjęta. Cieszymy się, że powiastki i komedyjki w Wieczorach tak ci się podobają. Zadanie robót dla pańienek ogłosimy przed wakacjami.

Dobre rozwiązania szarady i pierwszej części zadania arytmetycznego nadesłał: *Tygrys z Abisynii*, równie dobre rozwiązania nadesłali: *Leonek Sz., Bławatek polny, Regina Sz. Konwalijska, Kasia B. i Makówka.*

*Bodziaczek ukraiński* od razu zyskał moją przyjaźń pamięcią o biednych dzieciach, w których imieniu za przysłane sukienki oraz inne rzeczy ślę mu podziękowanie. Błędów gramatycznych w liście twoim nie znalazłam, są tylko braki znaków potrzebnych w naszej pisowni, co sądzę, wkrađło się tylko przez roztargnienie. Gdy jednak *Bodziaczek* będzie pisywać częściej, obiecuję strzedz pilnie każdej pomyłki.

Zawsze ładny, czysty i staranny liścik *Trzech ruczków* z *Siedlisk* odczytałam z tym większym zadowoleniem, że dowiedziałam się z niego jak wesoło i przyjemnie spędzili mali moi przyjaciele czas świąteczny, poczem z tym większą ochotą zabrali się znowu do nauki i uprawy swych ogródków. — Serdeczne pozdrowienia zasyłałam wam:

Jakże miło mi było odebrać ładnie i starannie napisane wasze liściki, kochana *Myszko* i *Żuczku* ukraiński. O ile sobie przypominam pismo przez ten rok wyrobiło, literki w niem równe i kształtne, aż przyjemnie spojrzeć! — A jakże prędko nauczył się się *Żuczek* czytać i pisać, gdy więc już tę sztukę posiadamy, proszę *Żuczka* nie zapominać o *Jaskółce* i przysyłać jej często liściki. Pseudonym twój tym ładniejszy, że go mamusia wybrała.

*Mrówkę*, która ma ładne imię *Zosi*, witam w gronie mych korespondentek. Że z braciškami, skoro przyjadą na wakacje jest w doniu wesoło, mogą sobie wyobrazić, bo i ja mam rodzeństwo i zawsze naprzód się cieszę na dnie, które wszyscy razem spędzić mamy. Pozdrowienia serdeczne *Wacławowi* i *Halinie* przesyłam.

*Wdzięcznemu Słowianinowi* za list i wierszyk dziękuję bardzo. Widzę, że masz fantazję bujną a duszę bardzo wrażliwą, przy pracy i odpowiednim kształceniu, zarówno umysłu jak serca. możesz z czasem wyrobić w sobie zdolności autorskie. Życze ci tego z całego serca, bo słowa twoje przekonały mnie, że umiesz odczuć i zrozumieć niedolę bliźniego.

*Maryś z nad Bystrzycy* pierwszy raz obdarzyła mnie bardzo miłym liścikiem, za który, (jak za każdą odezwę miłych mi czytelniczek) wdzięczną jej jestem. Siostrzyczkom pozdrowienia przesyłam i wielką pochwałę dla najmłodszej 5-o letniej, że umie już czytać i uczy się pisać. Początkowe arkusze dodatku powieci wyszliśmy po odebraniu adresu, którego w liście nie znaleźliśmy.

*Różyczce z nad Pilicy.* Próby kaligrafii zostały już osądzone i wkrótce ci, którzy zasłużyli na nagrodę lub pochwałę zostaną wymienieni. Godzę się z twym zdaniem, że astronomia należy do jednej z najciekawszych nauk. Według zdania astronomów obecnie ani życie roślinne ani ludzie nie istnieją na księżycu, z powodu braku atmosfery t. j. powietrza. Kończąc odpowiedzi na dzisiejsze liściki wszystkim miłym korespondentom posyłam serdeczne pozdrowienia.

*Jaskółka.*